

TEMATY
TYGODNIA

- 12 Marcin Piątek
Soczi: gorąca zima
- 14 Mariusz Janicki,
Wiesław Władyka
**Polityczna
wredna mowa**
- 18 Piotr Pytlakowski
**Kto i jak korzysta
z archiwów IPN**
- 20 Rozmowa z **Andrzejem
Ceynową**, byłym rektorem
Uniwersytetu Gdańskiego,
pomówionym
o agenturalność

SPOŁECZEŃSTWO

- 22 Elżbieta Turlej **Internet
służy filantropom
i naciągaczom**
- 26 Magdalena Łuków
Klauzula bez-sumienia
- 29 Joanna Podgórska
**Pracują za mniej
niż 4 zł za godzinę**
- 32 Jakub Janiszewski
**OGLĄD I POGLĄD
Inne spojrzenie
na niedożywienie**
- 34 Rozmowa
z prof. **Katarzyną Schier**
o obsesji własnego ciała

RYNEK

- 36 Ryszarda Socha
**Kosakowo: obywatele
vs. korporacja**

EDUKATOR
EKONOMICZNY

- 40 Witold M. Orłowski,
Cezary Kowanda,
Elżbieta Turlej
**o zamrażaniu dolarów,
końcu lata i lekcjach
ekonomii dla dzieci**

ŚWIAT

- 46 Artur Domosławski
**ARGENTYNA
Kryzys w kraju papieża**
- 49 Piotr Kowalczyk
**Interpol
– służa dyktatur**
- 52 Katarzyna
Kwiatkowska-Moskalewicz
**UKRAINA
Gra oligarchów**

HISTORIA

- 54 Andrzej Fedorowicz
**Pierwsze postanki
drugiej RP**



18 Przemysł wydobywczy IPN



22 Dobroczynność prawdziwa i nie



82 Beksieńscy, czyli o dwóch nietakich

12 Co zmienia polskie medale?
100 Soczi na własne oczy

- 57 Adam Krzemiński ESEJ
Moralność szpiega
- 60 Grzegorz Majchrzak
**Sarajewo 1984:
igrzyska pod specjalnym
nadzorem**

NAUKA

- 62 Andrzej Hołdys
**Energetyka jądrowa
– bać się czy nie bać?**
- 65 TECHNOECHO
- 66 Włodzisław Duch
**OGLĄD I POGLĄD
Nie płacz, humanisto!**

KULTURA

- 74 Jarek Szubrycht **TVP ABC:
budzenie wieczorynk
KAWIARNIA LITERACKA**
- 77 Michał Witkowski
- 78 Rozmowa z **Anetą
Grzeszykowską**, laureatką
Paszportu POLITYKI
w dziedzinie sztuk
wizualnych, o tym,
co można zrobić
z fotografią
- 80 Aneta Kyzioł **Zadara
odprawia dziady**
- 82 Bartek Chaciński
**Fascynująca biografia
Beksińskich**
- 85 MEA PULPA Kuby
Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

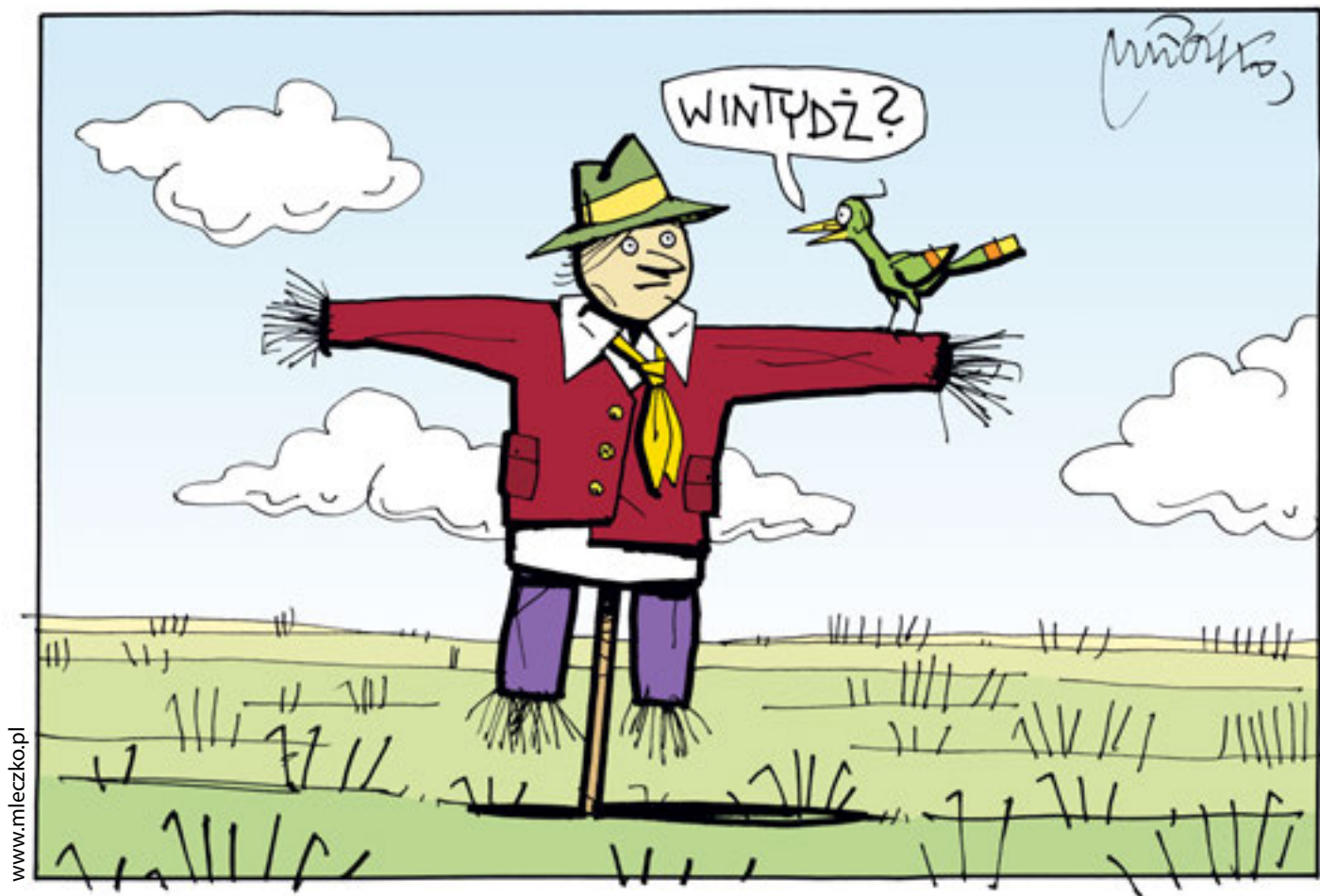
- 86 Sebastian Frąckiewicz
Czaszki artystyczne
- 89 Piotr Kowalczyk
Chiński szturm na trufle
- 92 Mirosław Pęczak
**William Burroughs
– dziadek kontrykultury**
- 94 Piotr Adamczewski
**ZA STOŁEM
Strachy w garnkach**

NA WŁASNE OCZY

- 100 Marcin Piątek
Olimpiada od zaplecza

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski • 6 Ludzie
i wydarzenia • 70 Afisz • 95 Passent
• 96 Hartman • 97 Tym • 98 Fusy,
plusy i minusy • 99 Do i od redakcji
• 106 Polityka i obyczaje



sławomir mizerski z życia sfer

Krzywdza i „Zemsta”

Walka PiS o lepszą Polskę toczy się na wielu frontach, m.in. na froncie kultury. Politycy PiS nie kryją, że na razie przegrywają z opcją lewicowo-liberalną, która brutalnie opanowała kulturalne instytucje i przejęła znajdujące się w nich środki publiczne. Ze środków tych finansowane są, niestety, dzieła, które nie tylko niszczą wspólnotę narodową i atakują wartości chrześcijańskie, ale mogą także zakłócić życie osobiste ludzi kultury zaangażowanych po stronie PiS. Niedawno aktor Jerzy Zelnicz ujawnił, że oglądając nową premierę Teatru Narodowego, „miał wrażenie, jakby zdradzał swoją partnerkę”. Znany aktor wykazał się przytomnością umysłu i po kilkunastu minutach opuścił widowisko, więc jest szansa, że partnerka mu wybaczyła. Ale nie każdy dysponuje takim refleksem jak Zelnicz, dlatego widzów słabiej orientujących się

w tym, co oglądają, wypada ostrzec, że kontakt ze spektaklami Teatru Narodowego może się dla nich skończyć rodzinnym dramatem.

Rzykowny jest także kontakt z propozycjami Teatru Polskiego, np. ze sztuką „Zemsta”, wystawioną w sposób, który radnym PiS w ogóle nie odpowiada. Radni ci już zażądali w tej sprawie wyjaśnień od marszałka województwa Adama Struzika, któremu Teatr Polski podlega. O niskim poziomie sztuki świadczy m.in. Cześnik siedzący w beczie na golasa i Rejent, który „jest ubrany w strój przypominający ubiór osoby duchownej i po scenie chodzi z chorągwią, jakie nosi się w kościele podczas procesji”. Z kolei Wacław obściskuje Klarę „w sposób daleki od zachowań człowieka dobrze wychowanego”, ta zaś wydaje okrzyki, które jednej z radnych PiS przypominają „dźwięki, jakie słyszę spod budki z alkoholem, niestety na moim osiedlu”. A najstraszniejsza jest scena, w której Klara leży na stole, unosi do góry sukienkę i zarzuca ją sobie na głowę. Zdaniem radnych PiS to, co pokazuje w tej scenie Klara,

nie ma nic wspólnego z wartościami chrześcijańskimi i pielęgnowaniem dziedzictwa narodowego.

PiS nie chce na razie zrzucić „Zemsty” ze sceny, chciałoby tylko, żeby przedstawiciele teatru spotkali się z radnymi i pedagogami w celu wyjaśnienia swojej wizji artystycznej oraz przedyskutowania koniecznych zmian.

Osobiście uważam, że jeśli PiS naprawdę myśli o podniesieniu politycznej kultury w teatrach, konieczne będą także poważne rozmowy z przedstawicielami innych placówek, np. z władzami Opery Kameralnej, w której ma zostać wystawiony spektakl o posłance Grodzkiej. Nie ma powodu, dla którego Opera, w ramach przywracania politycznej równowagi w sztuce, nie mogłaby wystawić także dramatu o posle Błaszczaku, opartego na jego wybranych tekstach. W roli Błaszczaka po tym, jak odmówią Opania, Olbrychski czy Stuhr, mógłby osobiście wystąpić Jerzy Zelnicz. Jestem pewien, że zagrałby tak, że na widowni nikt nie odniósłby wrażenia, że zdradza on swoją partnerkę.

przełomowe plany Orange Biz

tyyyle dobra na dzień dobry



Teraz dzięki **przełomowym planom Orange Biz** dla firm otrzymujesz więcej w nowym standardzie abonamentu:

-  nielimitowane rozmowy,
-  ubezpieczenie smartfona,
-  Nawigację Orange,
-  archiwizację danych w Chmurze dla Firm.

Szczegóły na orange.pl/dlafirm
i pod dedykowanym numerem **801 234 567**.



Blask złota gasi politykę

W blasku olimpijskiego złota polityka krajowa wyjątkowo nam zmarlała. Tym bardziej że zdobywcy złota to wyjątkowo fajni, dojrzały ludzie, bez kompleksów, mający własne przemyślenia, wyraźnie nakreślone cele. Tę zmianę generacyjną w sporcie warto dostrzec i westchnąć – gdyby ten sam proces pojawił się w polityce, gdzie ciągle zbyt często królują prostactwo, amatorszczyzna i tupet. Na generacyjną zmianę w polityce przyjdzie jednak jeszcze trochę poczekać i wiele wskazuje, że nic dobrego ona nie przyniesie. Starszy szereg ma chociaż doświadczenie. Młodzi, ci królowie życia, głównie pewność siebie, giętkość kręgosłupów i umiejętność poruszania się w kularowych grach. Czyż może być coś śmiesznieszego niż Adam Hofman, znów główny rzecznik PiS, który w odpowiedzi na apel premiera, aby Jarosław Kaczyński stanął do debaty, tak od niechcenia odpowiada, że Tusk nie ma nic do powiedzenia, Platforma nie ma programu i niech się Tusk najpierw rozliczy z własnych obietnic. Czyli „leci” rutyną, którą wszyscy cytują, nie zastanawiając się, że w tych słowach nie ma żadnej treści. Po co więc Hofmana o cokolwiek pytać? Można przecież wyjąć dowolną odpowiedź z przeszłości i będzie jak znalazł.

Politycznym wydarzeniem tygodnia miał być oczywiście od dawna zapowiadany kongres programowy PiS. Partia miała przedstawić kolejny, trudno zliczyć który, nowy wizerunek. Wypełniona sala mogła robić wrażenie, reszta już wrażenia nie robiła, bowiem wszystko, co powiedziano, wygłoszono już po wielokroć wcześniej, także kompleksowo. Jeśli ktoś nie wie, że po dojściu PiS do władzy przybędzie milion nowych miejsc pracy, po

500 zł miesięcznie przypadnie na każde drugie i następne dziecko, że nie będzie gimnazjów, NFZ, a emerytury będą tylko z ZUS i oczywiście nie będzie żadnego euro, to oznacza, że raczej oderwał się od politycznej rzeczywistości i to na wiele miesięcy. Do wyborów parlamentarnych mamy jeszcze przynajmniej półtora roku. Na razie zbliżają się wybory do Parlamentu Europejskiego i oczekiwałabym, aby partia rozliczyła się ze swojej tam obecności, zapowiadając jednocześnie, o co chce w przyszłości powalczyć, które kwestie uważa za priorytetowe. I to nie w sferze luźnych pomysłów czy liczby listów, jakie prezes może jeszcze wystosować do premiera Wielkiej Brytanii, ale także możliwości budowania europejskich koalicji dla poszczególnych spraw. W mijającej kadencji głosy oddane na PiS były stracone, bo reprezentacja połamala się skutkiem krajowych secesji, a pozostali nie wykazywali się zbytnią aktywnością albo o swej aktywności nie informowali. Sondaże są dla partii Jarosława Kaczyńskiego łaskawe i PiS może mieć znaczącą europejską reprezentację, co pod rządami traktatu lizbońskiego ma większe niż wcześniej znaczenie. Po sobotnim kongresie można odnieść jedno wrażenie – PiS nie ma żadnego programu europejskiego, wyjąwszy twarde nie dla wprowadzenia polski do strefy euro, co musi oznaczać degradację naszej pozycji w Europie. To, co zaprezentowało PiS, wpisuje się jedynie



w ogólną polityczną strategię tej partii – wzmocnić wyborcom, że Polska to czarna dziura, w której wszystko jest zrujnowane przez „system Tuska”.

W blasku olimpijskiego złota zszarzał nie tylko ponury przekaz kongresu PiS, ale nawet najbardziej sensacyjna sprawa wyjścia na wolność, mocno limitowaną zresztą, Mariusza Trynkiewicza (piszemy o nim też na s. 8), która doprowadziła nas na krawędź paranoi. Histeria medialna, wzniecająca społeczną histerię, histeria władzy i opozycji, doprowadziły do zdarzeń zgola nadzwyczajnych, jak choćby owe nagłe znaleziska w nieustannie kontrolowanej celi. Tydzień temu chwaliłam służbę więzienną za dyskrecję, za brak współczesnych zdjęć mordercy, dziś wypada mi sporo tamtych słów odwołać. Wiszące nad nami od dawna pytanie – wyjdzie nie wyjdzie? – rozstrzygnięto tak jak w państwie praworządnym powinno się rozstrzygać: wyszedł. Szczęśliwie tak, że udało się uniknąć linczu, do którego zachęcano nie tylko na specjalnej stronie internetowej, ale całym klimatem stworzonym wokół tej sprawy. Trynkiewicz wyszedł, prokuratura nowych zarzutów mu nie postawiła, zapewne będzie izolowany, być może jednak przed sądowym obliczem przyjdzie stanąć funkcjonariuszom służby więziennej. Te zbiegi okoliczności muszą zostać opinii publicznej wyjaśnione.

Warto także przyjrzeć się, jak rósł ten klimat linczu kreowany wspólnie przez media i polityków. Szczególne zasługi położył tu były minister sprawiedliwości Jarosław Gowin, dziś obwieszczający kompromitację państwa, choć w rzeczywistości jest to kompromitacja jego pomysłu i propagandy wokół niego. Co jednak dziwi, to fakt, że ustawa, która w powszechnym przekonaniu prawników narusza normy konstytucyjne, nie została jeszcze zaskarżona do Trybunału Konstytucyjnego. Sama nabrałam się na to, że prezydent, zgodnie z zapowiedzią, wniosek do TK już skierował, tymczasem nie skierował. RPO też ciągle myśli, na posłów nie ma co liczyć, gdyż prawo to uchwalano prawie jednomyślnie. Tymczasem, pomijając już casus samego Trynkiewicza, ustawa przez swój brak precyzji może objąć dziesiątki tysięcy skazanych, umieszczanych dla ułatwienia sobie życia przez służbę więzienną i organy mające strzec bezpieczeństwa obywateli w zakładach psychiatrycznych. I nie ma się co pocieszać, że szczęśliwie sąd okazał się odporny i prokuratura też. Tak zawsze być nie musi.

Jan Koza



© JAN KOZA

PiS obiecuje

Podobno przyszłoroczne wybory parlamentarne będą dla **Jarosława Kaczyńskiego** niczym olimpijski bieg dla Justyny Kowalczyk – „albo wygram, albo zdechnę”. Tak przynajmniej twierdzą niektórzy politycy Prawa i Sprawiedliwości. – Co tu kryć, ma już swoje lata. Jak nie teraz, to kiedy? – pyta retorycznie jeden z posłów PiS.

Drużynową rozgrzewkę urządzono w sobotę w hali sportowej na warszawskim Ursynowie, gdzie zaprezentowano nowy program PiS. Sesja kwalifikacyjna w maju – podczas wyborów do Parlamentu Europejskiego. Na jesieni walka o samorządy, a w 2015 r. najważniejsza rozgrywka – bój o parlament. Podczas kongresu, który reklamowano hasłem „#NowyProgramPiS” – co miało nawiązywać do sposobu komunikacji w mediach społecznościowych – zaprezentowano zręby Polski pisowskiej: godnej, wolnej, socjalnej, ale bez odwoływania się do zdeprecjonowanej nazwy IV RP czy „walki z układem”. Nowym słowem kluczem jest teraz system – „system Tuska”, którego „celem jest podtrzymanie kształtu III RP”. W liczącym 166 stron programie zwrot „system Tuska” występuje 28 razy; słowo „system” – odmieniane przez przypadki pojawia się 223 razy. Pozostałe strony wypełniono obietnicami. Najważniejsze z nich przedstawił podczas kongresu Jarosław Kaczyński.

W swoim wystąpieniu prezes PiS odwoływał się do haseł, które już nie raz słyszeliśmy: walki z korupcją, korporacjami państwowymi (w tym sędziowskimi), obrony polskiej ziemi, reindustrializacji kraju... Było o „szerzącym się w Polsce i na świecie antypolonizmie” i „związaniu się Polski”. Pisowski program z 2009 r. poddano zabiegom regeneracyjnym, wstrzykując solidną dawkę populizmu. Wzrosną więc pensje i emerytury, a wiek emerytalny się obniży, młodzi dostaną mieszkania, które z czasem przejdą na ich własność, znikną gimnazja i dwustopniowy system studiów. Niepewny będzie los wiatraków energetycznych, które według prezesa „zaczynają być przekleństwem polskiej wsi”, a także artystów, których twórczość zostanie uznana przez PiS za „antypolską”. Bo – jak podkreślał Kaczyński – „nie mamy zamiaru popierać ekscesów, które są dziełem różnego rodzaju beztalenci, które mają zastępować prawdziwą sztukę. Oczywiście wolność, ale w ramach tego, co popiera państwo”.



© Radosław Pietruszka/PAP

Wszystko to będzie kosztować, ale prezes znalazł „przeszło bilion złotych”, na który złożą się środki europejskie, wpływy z nowych podatków od hipermarketów oraz – brzmiące tajemniczo – „środki z banków i firm państwowych” i „środki, które biernie leżą na kontach przedsiębiorstw”. Wzmocniona ma zostać osobista władza premiera, a także rola CBA, NIK, IPN i prokuratury, znowu podporządkowanej rządowi. Temat Smoleńska nie był eksponowany. Przekaz kongresu nie bardzo pasował do rozpoczynającej się kampanii o europarlament. Dostaliśmy za to nowocześnie skrojoną inaugurację kampanii lokalnej z wystylizowanymi: Beata Szydło, Jadwigą Wiśniewską i Andrzejem Dudą (to obok Jarosława Kaczyńskiego twarze partii, co nie wszystkim się podoba – krytykowane jest zwłaszcza powołanie do pierwszej drużyny posłanki Wiśniewskiej). – *To było exposé byłego i przyszłego premiera* – mówi europoseł PiS Ryszard Czarnecki. Z tą opinią na pewno można się zgodzić w połowie.

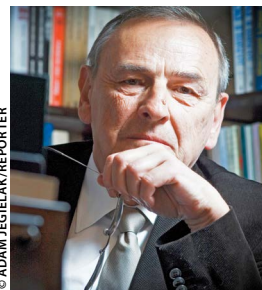
MALWINA DZIEDZIC

Ośmiotysięcznik

Umarł **Zbigniew Romaszewski** (1940–2014). Był jednym z ośmiotysięczników peerelowskiej opozycji demokratycznej. W III RP nigdy nie znał aż tyle, ale znał to samo: Prawa Człowieka. Tak było od 1967 r., kiedy zbierał podpisy w obronie wyrzuconego z uniwersytetu Adama Michnika, do końca, czyli do 13 lutego 2014 r. W 1976 r. organizował pomoc dla represjonowanych za protest robotników Radomia. W 1977 r. współtworzył Komitet Samoobrony Społecznej KOR i stworzył Biuro Interwencji zajmujące się rejestracją nieprawości władz i wspieraniem ofiar. Potem był jednym z założycieli Komitetu Helsińskiego. W 1979 r. jako zwykły turysta odwiedził w Moskwie Andrieja Sacharowa – guru dysydentów i pokojowego noblistę z 1975 r. W legalnej Solidarności należał do władz

Mazowska i do Komisji Krajowej, ale też przede wszystkim kierował Komisją Interwencji i Praworządności. Współtworzył nielegalne Radio Solidarność. Nie da się opisać, co czuli słuchacze, którzy kilka miesięcy po 13 grudnia m.in. dzięki Romaszewskiemu słuchali niezależnej stacji radiowej. Latem 1982 r. został aresztowany. Dwa lata spędził w więzieniu m.in. za przynależność do podziemnych władz Solidarności. Ale się nie zniechęcił. Po uwolnieniu robił to, co wcześniej.

Gdy się wspomina kolosa, powstaje pytanie, kiedy był największy. Romaszewski miał tę chwilę po 1989 r., bo nie uległ entuzjazmowi wolności i rozumiejąc, że nowy system też będzie tworzył nieprawości, wraz z żoną



© ADAM JEGIELAK/REPORTER

zbudował Biuro Interwencji w strukturze demokratycznie wybranego Senatu. Mało kto wtedy rozumiał, że demokracja nie oznacza końca walki o Prawa Człowieka, ale jej nowy etap. To sprawiło, że znalazł się obok głównego nurtu polityki. Ale nie stracił wrażliwości na krzywdę.

Jedynym, czego nigdy nie umiałem zrozumieć, była jego obecność w jednej partii obok Ziobry i Kamińskiego w czasach aresztów wydobywczych, nagonek i zaszczuwania. Żałuję, że go nie spytałem, jak mógł to wytrzymać. Bo przyczyną nie była utrata wrażliwości, skoro jeszcze na parę tygodni przed śmiercią założył Komitet Solidarności z Ukrainą. Może po prostu nie chciał być kompletnie samotnym ośmiotysięcznikiem.

JACEK ŻAKOWSKI



Wróg publiczny

Dawno w Polsce nie było wroga publicznego numer 1. Dziś wszyscy widzą, że zwolnionego z więzienia **Mariusza T.** lepiej byłoby trzymać pod kluczem, ale nie wiadomo, na jakiej podstawie prawnej. Ideał demokratycznego państwa prawa narzucił standardy, którym zwykle, przeciętne państwo nie wie, jak sprostać. Jeszcze w lipcu 2013 r. do Sejmu wpłynął projekt ustawy o postępowaniu wobec „osób z zaburzeniami psychicznymi stwarzającymi zagrożenie”: ustawa stała się prawem po siedmiu miesiącach. Postępowanie wymyślono takie: dyrektor więzienia (bo ustawa dotyczy tylko więźniów) kieruje wnioskiem do sądu cywilnego, który po opiniach psychiatry i psychologa może skierować „stwarzającego zagrożenie” do nowo utworzonego „ośrodka zapobiegania zachowaniom dyssocjalnym”. Co sześć miesięcy sąd bada, czy trzymanie delikwenta jest dalej zasadne. Czy wysłać tam Mariusza T. – zadecyduje sąd w Rzeszowie. Dlaczego sąd cywilny – a nie karny – i w dodatku w tzw. postępowaniu nieprocesowym? Autorzy ustawy najwyraźniej chcieli uniknąć zarzutu, że nowe prawo narusza święty dla prawnika zakaz powtórnego karania za tę samą zbrodnię. Nie sąd karny orzeka i nie na więzieniu skazuje! Ale przecież laik widzi, że to tylko sztuczka prawna. W istocie – sąd może pozbawić wolności człowieka, który żadnego (nowego) czynu nie popełnił, a tylko „stwarza zagrożenie”.

Czy takie rozwiązanie może zaakceptować sędzia kształcony w duchu demokratycznego państwa prawa? – Gdyby pan mnie pytał przed sprawą Breivika, odpowiedziałbym: bezwzględnie nie. Dziś nie mam już takiej pewności – mówi prof. Jerzy Sarnecki, autorytet w dziedzinie kryminologii. Sarnecki pracuje w Skandynawii,

znanej z łagodnego karania i mniejszej niż gdzie indziej przestępczości. Norwegowie, w parę miesięcy po zbrodni, a przed procesem, stworzyli specjalną ustawę – na wypadek gdyby Breivika uznano za chorego i odesłano do szpitala (z natury rzeczy mniej pilnowanego). Ustawa norweska pozwalała trzymać Breivika za kratami dla – ciekawe – „ochrony przed zemstą”. Ostatecznie nie okazała się potrzebna, bo masowy zabójca został skazany na 21 lat więzienia plus bezterminowe, kontrolowane co pięć lat, *forvaring*, przechowanie, czyli w praktyce na dożywocie, którego w norweskim kodeksie nie ma.

Polska ustawa powstała przy sprzeciwie psychiatrów. Jeszcze w ub.r. prof. Józef Gierowski, kierownik Katedry Psychiatrii UJ, zwrócił uwagę, że zlekceważono głos specjalistów od diagnozy i terapii. Streszczając argumentację, chodzi o to, że psychiatria ma leczyć, wspierać, zapobiegać wykluczeniu chorych, a nie zastępować wymiar sprawiedliwości w stosowaniu izolacji.

Ustawie sprzeciwili się nie tylko psychiatrzy, ale i znani prawnicy, praktycy więziennictwa, a także Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Nigdy nie trafiła do komisji kodyfikacyjnej prawa karnego. Prezydent podpisał ją zapewne za radą prof. Andrzeja Zolla, który nie wybielał jej wad, lecz tłumaczył „stanem wyższej konieczności”, trzeba było jakoś zatrzymać wroga publicznego. Prezydent lada dzień skieruje ją jednak do Trybunału Konstytucyjnego; sędzia Bartłomiej Przymusiński ze stowarzyszenia Iustitia mówi: – *Rząd poprzez tę ustawę testuje, jak daleko mógł się posunąć.* Za daleko – mówi chórem wielu wybitnych prawników. Obrońców karnych wręcz szokuje zakres nowej ustawy. Można ją zastosować nie tylko wobec skazanych kiedyś na karę śmierci czy najcięższe kary. Można ją wykorzystać wobec każdego więźnia, w systemie terapeutycznym, skazanego za inne przestępstwo i – zamiast wypuścić z więzienia – skierować do zamkniętego ośrodka. Budzi to najgorsze skojarzenia z sowieckimi metodami *psychuszek*. Co prawda wszystko odbywa się pod kontrolą sądu. Ale kto zaręczy, że nie zmieni się rząd, że nie dojdzie do władzy ugrupowanie skrajnie autorytarne, dyrektor więzienia asekuracyjnie napisze wniosek, usłudźni biegły wydadzą stosowną opinię, a strachliwy sąd wyda orzeczenie. – *To jak dać małpie brzytwę* – tak formułuje zagrożenie adw. Piotr Kruszyński, profesor procedury karnej. Doc. Ryszard Piotrowski z UW zwrócił uwagę, że skoro jedna trzecia populacji przejawia odchylenia od normy, to z pewnością w populacji więziennej odsetek jest jeszcze wyższy. Zatem można przypuszczać, że – pod presją społeczną

– przy wypuszczaniu ludzi z więzień dyrektorzy zakładów i biegli będą wnioskować o izolację, by się nie narażać na zarzut lekkomyślności.

Kategoria „osób stwarzających zagrożenie” jest nieostra, daje pole do arbitralnych ocen, słowem, dla prawnika stanowi bluźnierstwo. Współczesny przykład wrogów publicznych – choć z innego rozdziału prawa – to więźniowie Guantanamo, „ani winni, ani niewinni”, jak to nam tłumaczył amerykański dyplomata Daniel Fried. Niewinni, bo nie wiadomo, czy kogoś zabili, winni, bo zgłosili się do terrorystów i gotowi byli strzelać czy rzucać bomby, więc stwarzają zagrożenie. Trzymać ich to bezprawie, wypuścić – strach. Ambascador Fried jako specjalny wysłannik departamentu stanu kilka lat temu próbował, z umiarkowanym powodzeniem, poosiędląć ich w wybranych krajach na świecie. Nie było wielu chętnych gospodarzy. W pewnym sensie nasz rząd potraktował ustawę o „stwarzających zagrożenie” instrumentalnie, by uśmierzyć nastroje niepokoju i niechęci. Poza tym, o ile wielkie nazwiska ze świata prawniczego protestują, o tyle 404 posłów głosowało bez wahania „za”. Tak jak opinia publiczna, która raczej tylko się dziwi, dlaczego w ogóle sąd się z Mariuszem T. cacka.

Sąd ten rozdźwięk między dominującą opinią specjalistów a opinią masową? Trudno się dziwić, że każdy chce mieć poczucie bezpieczeństwa. Kategoria „osób stwarzających zagrożenie” nikogo nie razi, bo odpowiada potocznej wiedzy. Jednak zamiast tworzyć specustawę, należałoby wykorzystać i wzmocnić spójny system, nad którym pracowano lata. Prof. Gierowski chwali Narodowy Program Ochrony Zdrowia Psychicznego, perfekcyjnie – jak pisze – pomyślany, niestety niewdrażany z braku środków finansowych. Jedynie, z czym w specustawie można się zgodzić, to „nadzór prewencyjny” nad zwalnianymi z więzienia osobnikami o zaburzeniach preferencji seksualnych, choć i tu policja może i powinna działać ze zwykłego obowiązku „ochrony życia i zdrowia ludzi” (art. 1 Ustawy o policji). Co do terrorystów – karane jest też przygotowanie do zamachu oraz pochwalanie przestępstwa. Wreszcie, co może najważniejsze, mamy tzw. opiekę postpenitencjarną, niestety bardzo słabo finansowaną, kuratorów, którzy mają zwolnionym z więzień pomóc w zorganizowaniu życia. Często ci ludzie znają tylko więzienie i nie mają nic. Wszystkie te środki kosztują, ale bezpieczeństwo przecież nie jest za darmo. Ważniejsze są praktyczne konkretne działania niż specustawy.

MAREK OSTROWSKI



© MON

Za mundurem krawcy sznurem

Polskie wojsko ogłosiło przetarg na zakup 500 tys. sztuk mundurów. To już trzeci przetarg na **mundury wzoru 2010** w ciągu ostatnich lat. W poprzednich dwóch również kupiono 500 tys. Jak na 100-tys. armię, zakupy wydają się rozpasane. Wojsko przekonuje jednak, że kupuje racjonalnie. „Żołnierzowi przysługuje rocznie jeden mundur polowy wz. 2010 oraz jeden mundur polowy letni wz. 2010” – informuje Departament Prasowo-Informacyjny MON. Ale od producentów wymaga się dwuletniego okresu „normatywnej używalności” i trzyletniego okresu gwarancyjnego. Co ma wpływ na cenę. Mundury wz. 2010 zastępują poprzednie wz. 93, które były zmodyfikowaną wersją modelu sprzed prawie 40 lat. Trudno się dziwić, że wojskowi chcą się w nie jak najszybciej przebrać. Nowy wzór mundurów spodobał się również cywilom. Zgodnie z prawem nie mogą ich używać. Ale i na to są sposoby. – *Han-*

dluje się normalnie, bo zakaz dotyczy używania, a nie posiadania. A jak już posiadamy i chcemy używać, to wystarczy odpruć flagę i rzępy i już mamy bluzę wojskową, a nie mundur – tłumaczy pan Jan, który handluje militariami. Rynek psują mu jednak żołnierze, którzy na aukcje wystawiają własne mundury. Najtańsze oferty zaczynają się już od 150 zł.

Przetargiem bardzo zainteresowana jest branża odzieżowa. Nowy model jest trudniejszy do uszycia niż starsze wzory. Ale wojsko to duży i wypłacalny klient. Bierze w hurcie. Płaci prawie jak w detalu. W ostatnich dwóch przetargach średnia cena za komplet wynosiła ponad 290 zł. Oferty będą otwierane na początku marca, ale w branży już jest nerwowo. – *Pan mnie pyta, czy to trudno uszyć. Ja powiem, że trudno. A konkurencja doniesie, że nie umiemy szyć. Nie ma głupich, nic panu nie powiem – mówi przedstawiciel jednej z firm startujących w przetargu. (JUL)*

Geriatrów jak na lekarstwo

W Polsce do dyspozycji ludzi starszych, wymagających opieki, jest zaledwie 890 łóżek na 39 oddziałach geriatrycznych. Najwięcej, 15 takich oddziałów, jest w województwie śląskim (z 359 łózkami) i sześć w dolnośląskim (97 łózek). Województwa pomorskie i mazowieckie (ma najwięcej mieszkańców – ponad 5 mln) w ogóle nie dysponują takimi oddziałami. Zaniepokojony tym poseł Tadeusz Tomaszewski (SLD) napisał interpelację do ministra zdrowia. W odpowiedzi Igor Radziewicz-Winnicki, podsekretarz stanu w resorcie zdrowia, przypomniał, że „zgod-

nie z rozporządzeniem ministra zdrowia z dnia 20 grudnia 2012 r. (...) geriatria została uznana za priorytetową dziedzinę medycyny”. Podał, że dziś polskimi pacjentami opiekuje się 303 lekarzy geriatrów. Natomiast do 2015 r. (w ramach inwestycji w kapitał ludzki, za pieniądze unijne) swoje kompetencje w zakresie opieki nad osobami starszymi ma podnieść 2 tys. lekarzy, tyle samo pielęgniarek oraz tysiąc fizjoterapeutów. Według podsekretarza dziś w Polsce żyje 1,2 mln 80-latków, a za 20 lat będzie ich ponad 2 mln. (**DAB.**)



Za tydzień Bydgoszcz i Toruń

W cyklu „Portrety miast polskich” nadszedł czas na Bydgoszcz i Toruń (kolejność alfabetyczna). Po raz pierwszy zdecydowaliśmy się na jednoczesną prezentację dwóch miast. Opisujemy je razem, lecz kreślimy dwa odrębne portrety, tak jak różne są te dwa największe miasta województwa kujawsko-pomorskiego. Przyglądają się sobie i choć szukają pomysłów na rozwój oraz przyszłość samodzielnie, to nie sposób zrozumieć tożsamości Bydgoszczy i Torunia bez spojrzenia na ich wzajemne złożone relacje. Jeszcze ważniejsze jest jednak spojrzenie do środka – na jakość lokalnych elit, życie kulturalne i gospodarcze silniki, które zadecydują o dobrobycie mieszkańców Bydgoszczy i Torunia oraz ich regionu, gdy już skończą się unijne pieniądze. Za tydzień zapraszamy do lektury portretów Bydgoszczy i Torunia, a już teraz na nasz blog miejski: portrety-miast.blog.polityka.pl



© AN



© LUKASZ SZCZEPAN SK/REPORTER

Włochy potrzebują buldożera

Przebojowy i charyzmatyczny **Matteo Renzi** (39 lat) niemal na pewno zostanie najmłodszym premierem w historii Włoch. 10 tygodni temu, obiecując rewolucyjną odnowę, wygrał wybory na szefa potężnej lewicowej Partii Demokratycznej, a w ubiegły czwartek obalili rząd swego partyjnego kolegi Enrico Letty. Jak powiedział, Italię trzeba naprawiać buldożerem, a nie śrubokrętem. Liczni krytycy, również na lewicy, mówią o wymianie zaprzęgu w połowie przeprawy przez rzekę i niedemokratycznym przejęciu władzy, z pominięciem urn wyborczych. Ale to właśnie w Renzim, który obiecuje „wyciągnąć Italię z bagna stagnacji i korupcji”, większość Włochów lokuje nadzieje na przyszłość.

Renzi i prezydent Giorgio Napolitano tłumaczą, że nie ma czasu na wybory i kampanię wyborczą, bo rynki finansowe na pewno ukarałyby Italię za dalsze kilka miesięcy dryfu, podnosząc koszty obsługi horrendalnego długu publicznego (130 proc. PKB, 2 bln euro, 33 tys. na głowę mieszkańca). Poza tym Włochy przejmują w lecie przewodnictwo w Unii, więc muszą mieć stabilny i ambitny rząd.

Renzi obiecuje błyskawicznie uprościć architekturę państwa, pobudzić gospodarkę i dokonać pokoleniowej wymiany geriatrycznej klasy kierowniczej (średnia wieku powyżej 60 lat). Czyli zrobić to, co włoscy politycy obiecywali od 20 lat, ale zrealizować nie potrafili. Pozostaje zagadką, czy ta poezja wytrzyma starcie z prozą realiów skłóconego parlamentu. By zapewnić sobie poparcie dla reform, pragmatyczny Renzi układa się z Berlusconiem, czego ludzie włoskiej lewicy nie mogą przełknąć. Co więcej, wszyscy trzej przywódcy głównych włoskich sił politycznych – Renzi, Berlusconi i lider nihilistycznego Ruchu 5 Gwiazd komik Beppe Grillo – są poza parlamentem.

Pesymiści obawiają się, że polityczne bagno może wciągnąć Renziego, i wskazują, że Italia nawiązuje do niechlubnej przeszłości. Renzi będzie czwartym premierem Włoch w ciągu ostatnich 27 miesięcy.



© REUTERS/FORUM



© AN

Wielki mufti i przeciągi

Wydaje się, że to jedna z najbardziej saperskich funkcji publicznych w Kirgistanie. W styczniu, ledwie po roku sprawowania urzędu, ustąpił wielki mufti Rakmatulla Egenberdijew. A właściwie został zmuszony, kiedy do internetu trafił film pokazujący, jak intymnie obcuje z pewną panią. Mufti bronił się, że to jego druga żona, co na jego życzenie potwierdzić mieli jej rodzice. Tyle że w Kirgistanie oficjalnie nie można mieć dwóch żon. Ale poszło też o nieprawidłowości przy organizacji dorocznej świętej pielgrzymki do Mekki. Nowy wielki mufti **Maksat Toktomuszew** też od razu trafił do światowych serwisów, bo jedną z jego pierwszych decyzji było obłożenie fatwą homoseksualistów (od 1998 r. mogą się żrzeszać, zakładać swoje kawiarnie i nocne kluby). Niezręcznie zbiegło się to z raportem

obrońców praw człowieka, którzy apelowali do policji, aby nie inwigilowała tych środowisk. Teraz krok Toktomuszewa interpretują jako bezpośrednią zachętę do rozprawy z homoseksualistami. A zwolennicy silnego państwa z kręgów prezydenta zarzucają mu złamanie zapisu konstytucji o równości wszystkich obywateli.

Autorytet wielkiego muftiego, wydającego oficjalne interpretacje w sprawach życia państwowego i prywatnego związanego z islamem, bardzo by się przydał osłabionemu Kirgistanowi, który od 2005 r. przeżył dwie rewolucje obalające władze, a w 2010 r. zamieszki przeciw mniejszości uzbeckiej, kosztujące życie przynajmniej 400 osób. Ale w ciągu ostatnich sześciu lat urząd wielkiego muftiego w nadzwyczajnych okolicznościach opuściło sześć osób. A i ta siódma może długo nie przetrwać.

© REUTERS/FORUM

Sami mężczyźni

Afganistan szykuje się do pierwszego od dekad pokojowego przekazania władzy, właśnie zaczęła się tam kampania wyborcza. Ustępującego prezydenta Hamida Karzaję zastąpi któryś z 11 kandydatów (sami mężczyźni). Faworytem jest **Abdullah Abdullah**, kiedyś współpracownik, a dziś spadkobierca aury Szacha Masuda, bohatera walk z talibami. Abdullah po ojcu Pasztun, po matce Tadżyk – te dwie grupy etniczne mają najwięcej do powiedzenia w kraju – jest z wykształcenia okulista, ale od praktyki medycznej oderwała go wojna z armią radziecką; był ministrem spraw zagranicznych w rządzie Karzaję i jego rywalem w poprzednich wyborach. Plejadę raczej niewybieralnych, ale ciekawych kandydatów uzupełnia brat obecnego prezydenta, wcześniej stroniący od polityki, bo udanie parał się biznesem. W stawce jest wnuk i sekretarz ostatniego, dobrze zapamiętanego króla. Znalazł się także były mudżahedin i radykalny islamista, który zaprosił Osamę bin Ladenę do Afganistanu.

Jest niemal pewne, że wybory nie będą uczciwe. 12 mln uprawnionych do głosowania posługuje się około 20 mln dowodów tożsamo-



© REUTERS/FORUM

ści, przy poprzednich wyborach zdarzało się, że wyborcy wrzucali karty do urny więcej niż raz. Kłopotem będzie bezpieczeństwo, zarówno w trakcie kampanii, jak i głosowania, a wiele osób po prostu nie wybierze się do lokalu wyborczego, bo – głównie ze względu na długość lub trudy podróży – nie będą mogli do niego dotrzeć. Nowego prezydenta czeka trudne zadanie – do końca 2014 r. z kraju wyjedzie międzynarodowa koalicja. Ale na razie musi wygrać równie trudne wybory.

Lekcja śmierci

A tu się naciska – tak według jednego z blogerów musiały brzmieć ostatnie słowa instruktora ze szkoły zamachowców samobójców w północnym Bagdadzie. Na początku ubiegłego tygodnia na jego wykład trafiło 21 chętnych. Instruktor widać założył pas z prawdziwymi ładunkami. Siła wybuchu wybiła okna w odległości 500 m. Iracki internet eksplodował ponurymi żartami (np. że szkoda, iż na lekcji nie było pełnej frekwencji). Co jest reakcją na codzienne zagrożenie życia. W 2013 r. w Iraku zginęło ponad 9 tys. ludzi, w styczniu 2014 r. już ponad tysiąc. Podobne placówki edukacyjne szkolą pełną parą. O ile w listopadzie 2012 r. doszło tam do trzech zamachów samobójczych, o tyle w ostatnim listopadzie było ich już 50. Założycielem szkoły w Bagdadzie była terrorystyczna organizacja Islamskie Państwo Iraku i Lewantu (z ang. ISIS), która ostatnio szła od sukcesu do sukcesu. Latem rozszerzyła działalność na Syrię, a na początku roku opanowała iracką Falludżę i Ramadi. Teraz nie dość, że straciła 21 adeptów i instruktora, to jeszcze prawo do franszyzy odebrała jej Al-Kaida.



© REPORTERS/EAST NEWS

Posterunek sił ONZ na granicy między dwoma Cyprami

10 lat temu, u progu wejścia do Unii, odrzucili w referendum gotowe rozwiązanie, mają poczucie zmarnowanego czasu (i niezarobionych pieniędzy). Także Turcja, dziś na potężnym zakręcie, potrzebuje sukcesu. Ale przede wszystkim odkryto tu pod dnem morza gigantyczne złoża gazu. Nie da się ich eksploatować bez przecięcia grecko-tureckiego węzła gordyjskiego. Najlogiczniej byłoby ten gaz, również z izraelskich odwiertów, wysłać podmorskim rurociągiem do Turcji. Dlatego prezydentowi Obamie zamarzył się plan harmonijnej współpracy w regionie, który pogodzi Greków z Turkami, a Turcję z Izraelem – i przy okazji da zarobić amerykańskim koncernom naftowym. Dobrze pomyślane.

Ale Obama chyba nie zna miejscowych. Po drodze jest kilka problemów: tureckich osadników, którzy stanowią dziś większość po północnej stronie wyspy, potężnego kontyngentu tureckiej armii, który tam stacjonuje, utraconych nieruchomości oraz dziesiątek szczegółów, które wykołczyły poprzednie negocjacje. Jest też po obu stronach wielka zapiekłość. Czy gaz to załatwi?

Gaz doda gazu?

To najdłuższy i chyba najnudniejszy serial w Europie. Nie sposób zliczyć wznowianych i zrywanych rozmów w sprawie podzielonego od 40 lat Cypru. Iluż dobrze zapowiadających się dyplomatów ONZ zламаło kariery w Nikozji. Dlaczego zatem kolejne negocjacje, które się właśnie zaczęły, wzbudziły takie emocje, w Brukseli i nawet w Waszyngtonie? Bo teraz wszystko ma być inaczej. Grecy, zmiażdżeni kryzysem, mocno spuścili z tonu, a cypryjscy kuzyni, którzy



Tak się rośnie

Jeszcze w tym roku **Nigeria** przegoni RPA i zostanie pierwszą gospodarką Afryki. Nie idzie o jakiś szaleńczy wzrost, który pozwoli wysforować się jej na pierwsze miejsce, ale zabieg księgowy wymuszony latami zaniedbań. Nigeryjski GUS przelicza wartość całej gospodarki według obecnych cen surowców, co ma pozwolić uaktualnić wartość wielu niedoszacowanych branż. To rutynowy zabieg przeprowadzany zazwyczaj co kilka lat, ale w Nigerii ostatni raz zrobiono to ćwierć wieku temu. Dlatego obliczając PKB, nie uwzględniano np. sieci komórkowych albo niemałego nigeryjskiego przemysłu filmowego. Rząd zapowiada, że operacja wywinduje nigeryjskie PKB o ponad 50 proc. Awans w tabelach mogą dostrzec ekonomiści, może inwestorzy i na pewno miłośnicy statystyki, ale nie odczują go za bardzo sami Nigeryjczycy. Trzeba też pamiętać, że najludniejsze państwo kontynentu ma 170 mln mieszkańców, którzy – uwzględniając nowe, nieoficjalne jeszcze dane – wspólnie wytwarzają mniej niż Austria, Belgia czy Polska.

Zbigniew Bródka

Justyna Kowalczyk

Kamil Stoch

© ANDRZEJ LANGE/EAST NEWS, TOMASZ JAGODZIŃSKI/NEWSPIX, EPA/PAP

Gorąca zima

MARCIN PIĄTEK

Nic tak dobrze nie robi zbiorowej świadomości, jak zastrzyki narodowej dumy, a sport jest w tej roli niezastąpiony, zwłaszcza przy okazji wielkich globalnych igrzysk. „Putinowska olimpiada” wywołała w Polsce prawdziwą epidemię euforii. Liczby nie kłamią: na półmetku w Soczi Polacy mieli cztery złote medale – dwa razy więcej niż w poprzednich 21 zimowych igrzyskach razem wziętych. W tydzień prześcignęliśmy 80 lat. Olimpijskie starty Polaków są telewizyjnym hitem (skoki Kamila Stocha po drugie złoto oglądało w TVP 13,5 mln widzów). Można ironizować na temat masowego kibicowania skokom narciarskim czy wyścigom panczenistów, ale, po prawdzie, sport wyczynowy jest w dzisiejszej kulturze jednym z najsilniejszych łączników narodowej wspólnoty, wpływającym na nasze zbiorowe samopoczucie i wyobrażenia na własny temat. W tym sensie zaskakujący sukces olimpijczy-

W złotej serii Polaków w Soczi jest dużo emocji, podtekstów, ale na szczęście jest i pewna logika. Dobrze, gdyby przeniosła się na cały nasz zawodowy sport. I nie tylko na sport.

ków to także zdarzenie polityczne. Zwłaszcza że okoliczności tych sportowych triumfów były jakoś „niepolskie”, zaprzeczające stereotypom o prześladowającym nas pechu, nieumiejętności radzenia sobie z rolą faworyta i ogólnie naszej amatorszczyźnie.

To już czwarte kolejne igrzyska zimowe, w których Polskę notuje się w klasyfikacji medalowej. Okres wielkiej smuty, czyli 40 lat od złota Wojciecha Fortuny na dużej skoczni w Sapporo (które było ledwie czwartym medalem w dziejach startów biało-czerwonych na zimowych igrzyskach) do srebra i brązu Adama Małysza w Salt Lake City, sprawił, że miłość do sportowców zimowych mocno w narodzie przygasła. Jak to u nas, daliśmy się zapędzić w ślepą uliczkę – brak wyników pociągnął cięcia w finansowaniu, zapaść infrastrukturalną oraz naturalną w tej sytuacji apatię środowiska. Polska obecność

na zimowych igrzyskach miała charakter symboliczny – zupełnie jakbyśmy byli krajem, w którym nie ma ani gór, ani zim.

Kto wie, jak długo trwałyby jeszcze ta smuta, gdyby nie Adam Małysz. Jego sukcesy wywołały entuzjazm, a także miały znaczenie praktyczne. Sponsorem generalnym Polskiego Związku Narciarskiego została firma Lotos, która nie tylko grała się w świetle mistrza, ale przede wszystkim objęła mecenat nad młodymi skoczkami. Dzięki sponsorowanemu przez koncern cyklowi zawodów dla dzieci udało się wychować dzisiejsze pokolenie, z mistrzem Kamilem Stochem na czele. Justynę Kowalczyk na pierwszym etapie kariery wspierał datkami zakopiański biznesmen Józef Pawlikowski-Bulcyk, ale odkąd jej dorosła kariera przyspieszyła (czego dowodem było 4 miejsce na mistrzostwach świata w Oberstdorfie w 2005 r.), Lotos już w Polskim Związku Narciarskim był. I choć PZN wciąż był w tamtych czasach wstrząsany podziałami tatrzańsko-beskidzkimi, a pierwszą miłością działaczy były skoki, Kowalczyk nie musiała się martwić o podstawowe sportowe potrzeby.

Polskie medale w Soczi świecą jeszcze mocniej, gdy przyrzyć się temu, co działo się w tle. Bo oto mistrz Stoch najpierw sprawia wrażenie kompletnie rozregulowanego podczas treningów na średniej skoczni, ale półgodzinna wymiana uwag z trenerem Kruczkim wystarcza, by dolecieć po pierwsze złoto. Trening na większym obiekcie kończy upadkiem tuż po lądowaniu, tymczasem podczas konkursu nie widać po Kamilu śladu obaw i znów jest pierwszy. Mistrzyni Kowalczyk wygrywa, jak chce, bieg na 10 km klasykiem mimo złamanej kości śródstopia. Mistrz Bródka nie jest sobą w wyścigu na 1000 m, więc przed startem na dystansie o połowę dłuższym rezygnuje z nowych płóz, zakłada do łyżew stare, wysłużone (a w związku z tym teoretycznie nieco bardziej wywrotne) i wygrywa. Siła spokoju, hart ducha, szósty zmysł – takich morałów szuka się w sportowych historiach, jednak rzadko się zdarza, by dostarczali ich Polacy.

Podtekstów jest więcej. Wygrana Bródki o trzy tysięczne sekundy wywołuje dyskusję na temat tego, do ilu zer po przecinku trzeba dojść, dzieląc medale (po raz pierwszy pokonani w Soczi Holendrzy sugerują, że zatrzymanie stopera na setnych częściach sekundy wystarczy). Przypadki Justyny i skoczków stają się pożywką do dyskusji o gierkach psychologicznych. Nie brakuje takich, którzy w dozowaniu przez Kowalczyk informacji o kontuzjowanej stopie widzą alibi na wypadek porażki albo przemyślaną strategię, mającą uśpić rywalki. Skoczkowie z kolei obnoszą się z pewnością siebie dzięki tajemniczej nowince sprzętowej, odkrytej przez sztab kadry. I choć w szczerych rozmowach przyznają, że szczegół jest drobny i raczej bez praktycznego znaczenia, to udało się w szeregach rywali zasieć niepokój. A przecież o to chodziło.

Piękne jest to, że w polskich medalach w Soczi nie było przypadku. Oczywiście, wyjątkowa jak na nasze olimpijskie normy medalowa kumulacja nie oznacza, niestety, że z dnia na dzień stał się się potęgą w sportach zimowych. Co gorsza, nie ma żadnej pewności, że szczęście i duma nie są chwilowe, bo tylko w skokach widać myślenie na kilka kroków do przodu. Tym niemniej trener Łukasz Kruczek przy każdej okazji zaznacza, że to, co mamy, jest ledwie załącznikiem systemu.

Dla Justyny Kowalczyk to raczej ostatnie igrzyska olimpijskie, a w jej cieniu nie udało się wychować żadnej następczyni. Gdy po szóstym miejscu w biegu łączonym mistrzyni rzuciła, że już niebawem przyjdą czasy, kiedy taki wynik będziemy brać z pocałowaniem ręki, zapachniało kłówną. Inna sprawa, że Kowalczyk uchodzi za fenomen, a żelaznym składnikiem jej legendy jest pierwsze zetknięcie z fachowcami z Instytutu Sportu – gdy miała 16 lat, zrobili jej testy na specjalnie zaprojektowanym przez nich ergometrze do badania efektywności pracy ramion i porównali z wynikami biathlonistów z dorosłej kadry, z Tomaszem Sikorą na czele. Różnicy nie było widać.

Podobnym unikatem jest Bródka – jego trener Wiesław Kmieć mówi, że odkąd jest w panczenach (będzie prawie 40 lat), jeszcze nie spotkał zawodnika z takim „silnikiem” i z taką umiejętnością przekuwania uwag w czyn. Zresztą dowód na fizjologiczny fenomen Bródki również znajduje się w Instytucie Sportu – badania wykazały, że z natury jest szybki, a jednocześnie ma jakiś zupełnie kosmiczny wskaźnik utrzymywania mocy podczas wysiłku. Odkrycie miało miejsce jakieś 10 lat temu, a tuż po nim Dariusz Sitkowski, fizjolog z IS, poradził Bródce, wówczas startującemu w short-tracku: Zbychu, przerzuć się na tor długi – jak złapiesz technikę, będziesz mistrzem.

Wielu intryguje jednak nie to, jaki Bródka jest, ale czego nie ma. A nie ma na swoje zawodowe potrzeby krytego toru, bo w Polsce nikt nie poczuwa się do tego, by go zbudować. Ponoć na miejscu w Soczi padły kolejne deklaracje, że obiekt wreszcie powstanie, ale pewności nie ma. W końcu logika sportowych działaczy bywa przewrotna – jeśli do olimpijskiego złota (a cztery lata wcześniej do brązu kobiecej drużyny w Vancouver) można dojechać, trenując na co dzień w Berlinie albo w Inzell, to po co właściwie ten tor? Coś na ten temat może powiedzieć Anita Włodarczyk (która została mistrzynią i rekordzistką świata w rzucie młotem, trenując w okolicach poznańskiego mostu Świętego Rocha) oraz jej koledzy miotacze. Od lat nie mogą się doprosić o zadaszone koło, mimo że rzuty to nasza lekkoatletyczna narodowa specjalność.

Ze złotych medali w Soczi da się na szczęście zbudować też inną opowieść, wypełnioną przez planowanie, logikę i odwoływanie się do racjonalnych podstaw wszędzie tam, gdzie sportowe czary-mary nie mogą wystarczyć. To przede wszystkim solidne oparcie w pomocy, jaką oferuje Instytut Sportu. Pomogli z Bródki zrobić panczenistę, Kowalczyk dostała od nich czarno na białym potwierdzenie nieprzeciętnych możliwości, a Łukasz Kruczek nieraz urządza sobie z fachowcami IS gorącą linię.

Ministerstwo Sportu, któremu również zależy, żeby w polskich medalach doszukać się jakichś prawidłowości, ma zamiar podnieść rangę IS (za ciągłość myśli w resorcie, który od kilku miesięcy ma nowego gospodarza, odpowiada wiceminister Tomasz Półgrabski). Instytut ma się stać dla polskich sportowców centralnym ośrodkiem naukowo-badawczym – tak by wreszcie zerwać z samowolką w kwestii rutynowych badań, monitorowania reakcji zawodników na treningi oraz skończyć z finansowaniem olimpijczyków wymykających się podstawowej kontroli, o których formie w godzinie zero tak naprawdę nic nie wiadomo.

Od ministra Półgrabskiego można również usłyszeć zapewnienie, że jego resort pomoże sportowcom w prowadzeniu tzw. karier równoległych. Przykład Bródki, który w swoim drugim zawodowym wcieleniu jest strażakiem, to wprowadzenie dla niektórych kolejny dowód ułomności polskich panczenów (jest w nich taka niepewność jutra, że trzeba dorabiać, gasząc pożary i ratując ofiary wypadków drogowych), ale w krajach sportowo rozwiniętych, jak Niemcy, Francja czy Włochy, związek dresu z mundurem jest naturalny.

Trenerowi Wiesławowi Kmiećkowi zresztą w ogóle to w prowadzeniu kariery Bródki nie przeszkadza – cała sztuka sprowadza się do odpowiedniej organizacji oraz trafienia na wyrozumiałych szefów w mundurach, a Zbyszek, jak słyhać, takich ma. Trener Kmieć uważa nawet, że życiowy plan B dobrze wpłynął na jego podopiecznego – dał mu głęboki spokój, który w sporcie jest na wagę złota.

Sukces w Soczi nie oznacza, że od razu mamy porywać się na organizację olimpiady zimowej w Krakowie-Zakopanem – takie odruchy trzeba raczej przeczekać. Na razie powinno nam wystarczyć, że na oczach świata daliśmy kolejny dowód awansu Polski do grupy ambitnych, coraz lepiej zorganizowanych i gotowych do rywalizacji społeczeństw. Może to nadinterpretacja osobistego sukcesu kilku upartych i utalentowanych ludzi – ale jakże miła i podnosząca na duchu.

Kulisy olimpiady – Na własne oczy, s. 100.